



Jerzy Madejski

Odchudzanie formy

Brygida Helbig: *Hilfe*. Szczecin: Wydawnictwo Forma, 2010. – 60 s.

Miniatury z tomiku *Hilfe* warto czytać w kontekście opisu dnia powszedniego. Można nawet stwierdzić, że Brygida Helbig buduje poetykę codzienności. Utrwała bowiem proste zajęcia, obowiązki, przymusy, niekiedy rytuały. Najbardziej zauważalna jest w tej codzienności opozycja snu i jawy. Sen to obszar bezpieczeństwa, ukojenia, spokoju. Jawa łączy się

z aktywnością, z działaniem, ze spotkaniem z innymi, ale też z zagrożeniem. Najdramatycznej relacja noc–dzień przedstawiona jest w liryku depresja: „ostatkiem sił / turlać się z łóżka / w otchłań dnia” (s. 15). Nie chodzi tu tylko o kontrast bezpiecznego łóżka i groźnego dnia. Rzecz w tym, że przejście od snu do jawy to nie tyle wynik postanowienia, ile

„bezwładu”. Do wyzwań codziennych się nie biegnie, nie idzie, a „turla”. Mamy poranek, a bohaterka już nie ma sił. Dzień źle się nie zapowiada, a określony jest jako „otchłań”. Co ciekawe, w tym wypadku, inaczej niż w innych utworach tomu, autorka pozostaje wierna tradycyjnej formie haiku.

Jednak ta generalna opozycja jest w poszczególnych wierszach komplikowana. Tak więc mamy dynamikę nocy, które „ostrzegają / śrubokrętem / snów” (s. 12). Dookreślona bywa też aktywność dzienna. Wiemy coś o tym, z czym trzeba się zmagać. Codziennosc jest pełna obowiązków. Niekiedy tych „poważnych” wyzwań bohaterka wierszy nie chce podjąć: „nie wstanę nie ubiorę / nie pójdę do łazienki / wrócę do bieli” (s. 29). Poetka ujawnia mitręgę powtarzalnych czynności i grozę spotkania z innymi. Po wyjściu z mieszkania rzadko bowiem spotykamy bliźniego, częściej obcego i wroga. Tak trzeba pojmować jedną z miniatur: „umarła / bo za bardzo współczuła / swoim katom” (s. 18).

Jeśli musimy wstać, to może uda się choćby w przestrzeni domowej zachować autonomię? Tak, ale nie w pozycji pionowej, a poziomej, np. w pełnej piany wannie (s. 35). Bo niestety i na terytorium prywatnym działają przymusy. Trzeba się liczyć z domownikami. Co więcej, w mieszkaniu oddziałują uwewnętrznione prawa kultury, a dzisiaj zwłaszcza nakazy i zakazy popkulturowe, mówiące, co i ile należy jeść. I tylko czasami można sobie pozwolić na szaleństwo: „z zimnej lodówki / wyżeram w nocy / gorące parówki” (s. 34). Dlaczego parówki są gorące? Dlaczego parzą? Czy lodówka się zepsuła i zamieniła w mikrofalówkę? Nie. To łakomczuszka łamie podstawowe zasady „zdrowego odżywiania”, sięga do lodówki w nocy i spożywa niezdrowy, wysokokaloryczny (niemiecki?) specjał.

Nawet pierwszego posiłku należy heroicznie bronić, bo jest on jedną z niewielu okazji, aby ocalić autonomię podmiotu: „jak zabierzesz mi / śniadanie / to już nic mi / nie zostanie” (s. 35).

Tak, jedzenie traci tu tradycyjną wartość kulturową. Nie jest już okazją do konwersacji. Nie jest przyczynkiem do ukazania statusu społecznego i symbolicznego domowników. Nie jest elementem scenarii erotycznej schadzki. Stanowi natomiast formę społecznego przymusu, w którym osoba traci suwerenność. Niekiedy poetka fundamentalnie kwestionuje swoistość kulturową posiłku, bo nie stwarza on u niej okazji do wymiany myśli, ale łączy się z ryzykiem agresji słownej: „temu kąsek / trzeba rzucić / i tamtemu / żeby zatakł się / choć na chwilę” (s. 49). Zapewne to przywiązanie do łóżka jest motywowane nie tylko egzystencją i wyobraźnią indywidualną poetki. Nie jest tylko poetyckim sprawozdaniem z berlińskiego mieszkania. Stanowi również zapis młodopolskich fascynacji. To przełom wieku był epoką snu. Maria Podraza-Kwiatkowska jedną ze swych książek o literaturze wczesnego modernizmu zatytułowała *Somnambulicy – dekadenci – herosi* (Kraków 1985). A wiersze o śnie pisała także Maria Komornicka, bohaterka książki naszej poetki (Brigitta Helbig-Mischewski, *Strączona bogini. Rzecz o Marii Komornickiej*, przeł. Katarzyna Długosz, Brigitta Helbig-Mischewski, Krzysztof Pukański, Kraków 2010). Są jednak i mniej odległe fascynacje snem. Gdybym nie był świadom genderowych kompetencji Brygidy Helbig, oznajmiłbym, że jest ona Białoszewskim w spódnicy. Pamięamy agorafobię Mirona, utrwalaną w rozmaitych gatunkach i formach, w tym również w miniaturach lirycznych, analizowanych niekiedy w kontekście gatunków orientalnych (zob. Tomasz Cieślak, *Prawie haiku Mirona Białoszewskiego*, w: *O wierszach Mirona Białoszewskiego. Szkice i interpretacje*, Łódź 1993).

Wołanie o pomoc (Hilfe) ma w wierszach Helbig postać wierszową. Ważna jest dla niej przede wszystkim tradycja haiku. Co ciekawe, forma ta bywa pożyteczna nie jako nośnik jakiejś estetyki czy duchowości (wschodniej), lecz jako dyscyplinujący (trochę) schemat. Jest to ważne o tyle, że niekiedy poetka nad-

miernie rozbudowuje wypowiedź, która łatwo mogłaby uzyskać postać klasyczną. Tak jest w „kociej” miniaturze: „jak kocica / zupełnie jak kocica / ocieram się / o cudze sny” (s. 33). Podejrzewam nawet, że redaktor tomu, Piotr Michałowski, sam teoretyk i praktyk krótkiej formy (*Miniatura poetycka*, Szczecin 1999), namawiał autorkę, w imię gatunkowego ład, do rezygnacji z drugiego wersu. Ta jednak stanowczo broniła swojej wersji. Chciała bowiem podkreślić wyjątkowe dla niej znaczenie snu. Poza tym – jak się domyślam – rygor poetyki (gatunku) to dla niej jeszcze jedna postać społecznej i instytucjonalnej opresji.

Podobnie jest w innym czterowersowym liyku: „parostaki parowozy / kolejki wąskotorowe / moja miłość / i innej nie chcę” (s. 33). Przecież ostatni wers to tylko rozbudowana (podkreślona) puenta. Tu jednak podejrzewam, iż redaktor tomu stracił czujność, bo jako autor wierszy kolejowych (*Koleje czasu*, w: *Rytmy albo wiersze na czas*, Bydgoszcz 2007), z satysfakcją odnotował, że nie jest sam w swych zachwytach. Oczywiście, podobieństwo w wykorzystaniu motywów kolejowych u Michałowskiego i Helbig jest pozorne. Michałowskiego poetę kolej interesuje jako element pejzażu, jako zjawisko geometryczne, optyczne, estetyczne. W wierszu Helbig rekwizyty są przede wszystkim ikonicznymi reprezentacjami przeszłości. Obraz kolejki wąskotorowej to refleks indywidualnej historii, to fantazmat przywołany z dzieciństwa. Lecz przecież i tu wspomnienie jest komentarzem do teraźniejszości. Fascynacja industrialnym obiektem pozostaje miłością bezpieczną, a nie ryzykowną, jak afekty ery dojrzalej.

Helbig nie jest więc doktrynalną wyznawczynią czystości gatunkowej. Więcej, ma swój pomysł na formę literacką. Jej poetyka codzienności zawiera się w cyklach. Jeden z nich nazywa *Garść pinezek*. Skąd ta nazwa? Pewnie stąd, że to mały ostry przedmiot, przydatny do eksponowania na tablicy korkowej codziennych obowiązków i postanowień (dietycznych?). Pewnie pinezki i inne miniatury

są potrzebne do scalania opowieści o osobie i o codzienności. Jednak małe formy Brygidy Helbig nie powinny nas zmylić. Są nie tylko wyrazem psychologii i procedurą autoterapii. Domowe miniatury liryczne bywają też nośnikiem idei. Helbig jest literaturoznawczynią, specjalistką od podejrzliwego czytania literatury. Dla niej, autorki świetnej biografii Komornickiej, ważne jest i to, jak literatura skrywa właściwości dyskursywne. Takie, które stanowią nie tylko ekspresję osoby, lecz także są zapisem świadomości (i nieświadomości) zbiorowej, pokoleniowej, politycznej, narodowej. Pamiętać trzeba, że Helbig jest wyznawczynią (i badaczką) Marii Janion i dzieli jej zapatrywania na literaturę. Oto założenie metodologiczne, które wyjmują z książki historycznoliterackiej Helbig: „Sądzę, iż warto badać nie tylko widoczne na pierwszy rzut oka zjawiska kulturowe, lecz także tzw. podświadomość kultury, czyli to, co z niej wyparte, do czego niechętnie się przyznajemy, a co może sterować nami w sposób niekontrolowany i z ukrycia” (*Strącona bogini...*, s. 31).

W cyklu *I nie umrzeć* znajdziemy miniaturę „terapeutyczną”: „zawsze najpierw / mówić tak / potrzebować pół życia / żeby to poodkręcać” (s. 47). Dotyczy ona – by tak rzec – kuraacji indywidualnej, której formą jest literatura. Ale ta miniatura może być też potraktowana jako program psychoanalizy zbiorowej. Kwestia, którą stawia poetka, nie musi być czytana jako opowieść o dylematach egzystencjalnych, jako konfesja. To „odkręcanie” może być pomocne w diagnozowaniu, tzn. czytaniu twórczości tych pisarzy i pisarek, którzy szukali lepszego życia i realizacji swoich aspiracji nie w Polsce, tylko na obczyźnie, za Odrą. Nie przysługiwał im już status emigrantów politycznych. Musieli sobie radzić bez uwznioślenia swojej sytuacji szczytnymi ideami. W tym kontekście program „odkręcania” nadaje się do czytania biografii i twórczości nie tylko Helbig, lecz także Dariusza Muszera, Wojciecha Stamma, Krzysztofa Niewrzędy i innych. Bo to przecież nie przypadek, że Helbig tak

dużo pisze o sobie, ujawnia swoje sny, zdradza tajemnice, przedstawia topografię swojego mieszkania (punktem centralnym jest lodówka), a tak mało opowiada o mieście, w którym żyje (s. 26). Czy tym, co „przesłania” jej lokum, nie jest nieprzyjazna przestrzeń, czyli miasto? Wolno się domyślać, iż zostaje ono uznane za ucieleśnienie opresyjnego systemu administracyjnego? Tak, Brygida Helbig nie wierzy autorce, której zdawało się, że *Berlin jest kobietą*.

W wierszu *Jesień* Helbig w swojej kuchni poluje na komara i przyrządza zupę z dyni (s. 37). Wiersz jest ciekawy. Zwraca uwagę tym, że łączy tematykę prywatną i zbiorową. Poetka zestawia w nim kod kuchenny z emancypacyjnym (zastanawia się, jak obronić zupę przed komarem i nie zabić go – to wątek wyzwolenia zwierząt). Mnie jednak zastanawia nie to, czy komar się utopił, ale sama potrawa. Dlaczego Helbig przyrządza zupę z dyni, a nie kartoflanek? Dlaczego za nic ma ziemniaki?

Moja hipoteza brzmi tak, chodzi tu o kwestię ideologiczną. Henry Hobhouse właśnie poprzez uprawę kartofli opisał historię oporu Irlandii przed kolonizacją Anglii: „Bez ziemniaka i chaty łatwej do zbudowania irlandzka ludność nigdy by nie przeżyła, a tym bardziej nie wzrosła jej liczba. Nie istniała wówczas możliwość wykarmienia takiej masy ludzi chlebem; irlandzkie techniki agrarne były zbyt prymitywne jak na uprawę odpowiednich płodów rolnych. W XVIII wieku brakowało zorganizowanego handlu zbożem w znanej nam obecnie postaci” (*Ziarna zmian. Sześć roślin, które zmieniły oblicze świata*, przeł. Marek Fedyszak, Warszawa 2001, s. 338).

Również stosunki polsko-niemieckie można przedstawić językiem współczesnej teorii postkolonialnej. Mamy skłonność do tego, by z ziemniakiem się utożsamić, by uznać, że my, Sarmaci, wymyśliśmy kartofle, że określiły one naszą zbiorową świadomość. To przekonanie jest podtrzymywane przez generacje

tych, którzy znają z własnego doświadczenia wykopki. A Brygida Helbig brała udział w tym osobliwym procesie edukacji szkolnej i resocjalizacji, polegającym na tym, że w wyższych klasach szkół podstawowych i we wszystkich klasach szkół średnich w epoce PRL-u organizowano wyjazdy do państwowych gospodarstw rolnych, aby zebrać plony ziemi. Tymczasem nie. Jak pisał Jan Stanisław Bystron, ziemniaki sprowadzili do Polski niemieccy kolonizatorzy w XVIII wieku: „zrazu niechętnie na nie patrzono, ale stopniowo uprawa ich stała się powszechna i kartofle weszły jako jeden z najbardziej podstawowych pokarmów do kuchni polskiej” (*Tematy, które mi odradzano. Pisma etnograficzne rozproszone*, Warszawa 1980, s. 345). Bystron dodawał, że Polacy jednak „długo brzydzili się ziemniakami”. Mieli zastrzeżenia nie tyle do ich wartości odżywczych, ile do zdrowotnych. Rozprawiali o kwestiach handlowych, spekulowali o – teologicznych. Niektórzy duchowni przestrzegali nawet, by nie ulegać powabowi kartofli i nie przetwarzać ich na mąkę, sprzedawaną później jako pszenną, bo to postępek świętokradczy (materia sakramentu Eucharystii – jak wiadomo – jest mąka pszenna).

W istocie, kiedy Brygida Helbig w swoim berlińskim mieszkaniu przyrządza zupę z dyni, nie rezygnuje – jak mogłoby się wydawać – z przywiązania do tego, co polskie. Przeciwnie, broni tożsamości indywidualnej i zbiorowej. Zupę z dyni wybiera zarówno ze względów dietetycznych (jedna dynia, jeden litr bulionu warzywnego...), jak i patriotycznych (niektórzy uznają, że to polska strawa – myślą się), kulturowych oraz modernizacyjnych. Europejską zupą z dyni (i miniaturą liryczną) Brygida Helbig zastępuje kartoflanek... berlińską (20 dkg boczku wędzonego ze skórą, 30 dkg obranych ziemniaków...) i tak w prywatnym mieszkaniu prowadzi swoją geopolitykę.